

Radosław Świąś

Opole

Nie tylko Casimir Pulaski. Polskie akcenty w amerykańskim Memorial Day

Obchodzony w USA corocznie w ostatni weekend maja Memorial Day to święto państwowe. Wspomina się tego dnia żołnierzy poległych za ojczyznę, odwiedza cmentarze, odbywają się parady. Memorial Day obchodzą też Amerykanie polskiego pochodzenia i Polacy mieszkający w Stanach. Książka *Polski akcent w American Expeditionary Forces. Historie prawdziwe, fascynujące i prawie zapomniane* udowadnia, że o wielu żołnierzach z polskimi korzeniami wiedzieliśmy dotychczas niewiele.

Dodajmy jeszcze na wstępie, że dla Amerykanów Memorial Day to też odpowiednik naszej majówki, czyli długi weekend i niepisany początek sezonu wakacyjnego. Ludzie wyjeżdżają więc za miasto, spotykają na grillach, cieszą życiem. A teraz do rzeczy.

Dwie polskie badaczki, zajmujące się wcześniej historią polskiej emigracji do USA, polonijnymi mediami i kościołami – prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i dr hab. Danuta Piątkowska wzięły na warsztat amerykański czyn zbrojny podczas I wojny światowej. Interesujący moment historii. Amerykanie porzucili neutralność i zaangażowali się w konflikt w trzecim roku jego trwania. Zwiększając liczebność armii, wysyłając żołnierzy, ale też broń i amunicję na Stary Kontynent, Ameryka zyskała status mocarstwa.

Cofnijmy się na chwilę o blisko półtora wieku, do czasów, gdy na ziemi amerykańskiej mało doświadczona, nieduża „zbieranina” złożona z ochotników walczyła z liczniejszą, świetnie wyszkoloną, doborowo wyposażoną armią „czerwonych płaszczy”, czyli regularną armią brytyjską.

Już w tej wojnie zasłynęło dwóch Polaków. Tadeusz Kościuszko przeżył – miał być jedynie draśnięty w tylną część ciała na finiszu rewolucji. Natomiast nie miał tyle szczęścia Kazimierz Pułaski, w USA zwany oczywiście Casimirem, a wśród niektórych „pułaskofilów”, zdrobniale, Kaz'em.

Odważny generał, kawalerzysta pierwszej próby, doczekał się opasyłych tomów, wzniesiono mu pomniki, nazwano jego imieniem miasta i hrabstwa, urządzono święta, zorganizowano parady. Kaz znalazł się wśród ośmiu osób w historii, które otrzymały honorowe obywatelstwo USA. Doborowe grono tworzą Winston Churchill (wyróżnienie otrzymał jako jedyny za życia), szwedzki dyplomata ratujący Żydów Raoul Wallenberg, angielski kwakier William Penn i jego druga żona Hannah Callowhill Penn, Matka Teresa z Kalkuty, markiz de Lafayette, zasłużony w walkach podczas wojny francuski generał oraz inny bohater z tego okresu – Hiszpan Bernardo de Gálvez.

Joseph Casimir z Brooklynu

Do dziś nikt, kto czyta ten tekst, nie znał innego Casimira. Nie z Puław, lecz z Brooklynu. Ten oto Joseph Casimir Wyczlinski urodził się w 1893 roku na ziemiach polskich, jednak to w jednej z pięciu dzielnic Nowego Jorku układał sobie życie. Pracował na kolei, nieźle zarabiał, wspierał matkę i brata, z którymi dzielił mieszkanie pod numerem 221, przy 23 Ulicy. Ale pracę trzeba było przerwać. Przybrana ojczyzna potrzebowała rekrutów.

28 lutego 1918 roku Wyczlinski zaciągnął się do wojska. Trafił do Kompanii C, 305. Pułku Piechoty Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego (American Expeditionary Forces). 24-letni żołnierz o numerze 1698982 był wysokim, smukłym kawalerem o brązowych oczach i piaskowych włosach. Na poznanie broni dostał niewiele czasu. 16 kwietnia szeregowy Wyczlinski był już we Francji. Zginął w akcji 27 września 1918 roku.

Z tej części Brooklynu, której centrum stanowiła polska parafia Matki Boskiej Częstochowskiej, zginęło więcej żołnierzy o polskich korzeniach. Byli to Frank J. Dombrowski, Walenty Horzewski, Michael Golinski, John Ruszkowski, Anthony Ploharski, Ignacy Winckowski, Frank J. Kowalinski, Bolesław Wieniawski, Antoni J. Nowak.

Wyczlinskiego pierwotnie pochowano dzień po śmierci na cmentarzu w Vienne-le-Chateau w Marnie, jednak 13 czerwca 1919 ciało ekshumowano i przeniesiono na niedaleki cmentarz żołnierzy amerykańskich Meuse-Argonne. Niedługo potem Joseph Casimir ruszył w swą ostatnią podróż, gdyż matka, jak tysiące innych matek i ojców, zwróciła się do armii o sprowadzenie zwłok do kraju. Trumny transportowano przez Atlantyk w organizowanych przez wojsko na wielką skalę tzw. konwojach poległych. 14 października 1921 roku ciało Wyczlinskiego spoczęło na cmentarzu Holly Cross, zaledwie 6 km od domu, z którego wyjechał do Francji – 6 tys. km w linii prostej od miejsca ostatniej akcji.

Było ich 250 tysięcy

Autorki książki *Polski akcent w American Expeditionary Forces. Historie prawdziwe, fascynujące i prawie zapomniane* właśnie na takich indywidualnych biogramach oparły dużą część opowieści o zbiorowym losie Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy zamieszkiwali Amerykę w początkach XX wieku. Książka ma przede wszystkim walor historyczny.

Są w niej też elementy socjologiczne i polityczne. Możemy z jednej strony poznać szeroki obraz określonej grupy społecznej, jak i zrozumieć motywacje, jakie kierowały młodymi w większości ludźmi udającymi się na front w Europie. A była to duża grupa. Według autorek w szeregach armii amerykańskiej służyło około 250 tys. żołnierzy polskiego pochodzenia (szacunki wg różnych źródeł to 190–300 tys.). Dowiadujemy się też skąd wywodzili się rekruci, gdzie walczyli i gdzie, jeśli zginęli, zostali pochowani. Z 2 712 poległych żołnierzy o polskich korzeniach ponad tysiąc ciał sprowadzono do USA. To – czytamy – przeczy utrwalonej w literaturze historycznej zajmującej się Polonią tezie, że emigracja polska do USA była intencjonalnie powrotna. „Zagadnienie poczucia tożsamości Polonii z Ameryką przewija się na kartach niniejszej książki wraz z konstatacją o głębokim patriotyzmie tej grupy etnicznej wobec starej ojczyzny. Trudno stwierdzić jednoznacznie, która z tych postaw przeważała” – piszą autorki.

W książce czyn zbrojny Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia nie ma rozpoznawalnych nazwisk (nie licząc tła w postaci

aktorów wielkiej polityki). Pieczołowicie wydobyte zostały natomiast z archiwów federalnych, stanowych, parafialnych i prywatnych nieduże biogramy, które w swej masie tworzą obraz, również społeczny. Dowiadujemy się często kim byli ci ludzie, jaki mieli status i z jakimi problemami się mierzyli, ale także jakie rangi osiągnęli w armii (w większości przypadków najniższe).

Być może ta książka stanie się źródłem i inspiracją do dalszych badań. A może będzie to inspirujący materiał nie tylko dla historyków, ale np. filmowców.

Pierwszy strajk w Ameryce to nasza robota. Ale co zrobił Frank Sovicki?

Fakt, że pierwszy strajk w Nowym Świecie to sprawa polska, jest całkiem dobrze znany. Telegraficznie: 1619 rok, Jamestown, Wirginia, pierwsza stała osada angielskich kolonistów w Ameryce. Pracujący tam polscy rzemieślnicy domagali od Virginia Company prawa głosu. Ich postulaty zostały spełnione.

Ale czy ktoś słyszał o szeregowym Franku Sovickim (Sawickim)? Nie, my po tej stronie oceanu podchodzimy do wojny europocentrycznie. Co prawda teraz, gdy Frank został tu tak mocno rozreklamowany, czytelnik może już znaleźć w Internecie więcej informacji na jego temat. Przydatny będzie np. serwis internetowy pasjonatów I wojny: „Doughboy Center. The Story of the American Expeditionary Forces”.

Autorki książki *Polski akcent...* zamieściły w niej 262 ilustracje, co nadaje jej charakteru albumu. Zdecydowały się przy tym na dość ryzykowny, dla publikacji tworzonych w oparciu o warsztat naukowy krok – publikowania zdjęć, które nie zawsze wynikają bezpośrednio z tekstu narracji. Odnoszą się do niego niejako kontekstowo. Każda taka fotografia, co istotne, jest jednak opisana. Poznajmy więc historię z jednej z ich.

Frank był Polakiem. Osiadł w górniczym miasteczku Shenandoah w stanie Pensylwania. Zgłosił się do armii na ochotnika zaledwie trzy dni po przystąpieniu USA do wojny. W lipcu 1918 roku wziął udział w bitwie pod Château-Thierry. Był żołnierzem Kompanii B, 4. Pułku Piechoty, która zajmowała pozycję na wzgórzu nr 204. W ferworze walki Sovicki i dwaj inni żołnierze zostali odcięci od swojej kompanii. Schowali się w leju po wybuchu bomby, w którym

tylko Frank przeżył ostrzał snajperów.

Pod osłoną nocy Sovicki postanowił dotrzeć do pozycji amerykańskich. Kiedy zobaczył żołnierzy, krzyknął by nie strzelali, gdyż jest Amerykaninem. Ale w nocy łatwo o pomyłkę. Niemcy zaszli go po chwili od tyłu i powalili na ziemię. Trafił do niewoli.

Z tej niewoli, czym zasłynął jako pierwszy amerykański żołnierz, uciekł. Szykując się do ucieczki – czytamy – miał powiedzieć: „Wracam do okopów, gdy tylko dostanę się do Francji, wierzcie mi, dopadną ich (Niemców) jeszcze kilku, zanim wojna się skończy”.

Radosław Świąś

Danuta Piątkowska, Wiesława Piątkowska-Stepaniak, *Polski Akcent w American Expeditionary Forces. Historie prawdziwe, fascynujące i prawie zapomniane*, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2022, ss. 418.



Trumna z ciałem poległego żołnierza, przetransportowana z Europy, wyrusza pod eskortą wojskową z Hoboken do jego rodzinnej miejscowości, rok 1919 (Library of Congress, sygn. LC-DIG-ggbain-29079)



Przewóz trumien poległych żołnierzy francuską koleją (National Archives and Records Administration, Signal Corps-Historical Film, No. 1208, <https://catalog.archives.gov/id/24713>)



Szeregowy Frank Sovicki – pierwszy żołnierz amerykański, który uciekł z niemieckiego obozu jenieckiego (Library of Congress, sygn. LC-DIG-anrc-18042)



Projekt okładki: Jolanta Brodziak.
Na okładce pomnik żołnierzy 107. Pułku Piechoty na Manhattanie w Nowym Jorku (fot. Wojciech Kubik) oraz flaga Polski (image by wirestock on Freepik)